

Deotymy

KSIEGA PIEŚNI

Zeszyt IV-ty i V-ty.

POEZYE DEOTYMY.



WARSZAWA,
Nakładem Józefa Kaufmana.

—
1872.

Wojna Francusko-Niemiecka.

Dzieło to składać się będzie z 20-stu poszytów w których zawrze się całość wypadków od początku **Wojny francusko-niemieckiej**, do chwili układów pokojowych.

Osoby z Gubernii lub Cesarstwa, które wniosły należność na 12-cie poszytów, po odebraniu 11-go uprasza się o nadesłanie należności na ośm poszytów Rs. 1 kop. 30, czyli na koniec tegoż dzieła, od tego bowiem zależeć będzie rychła wysyłka 12-go i następnych zeszytów.

Do opisu tych wypadków należy jako dalszy ciąg:

Wojna domowa we Francji.

Dzieło to wychodzić będzie w poszytach z ilustracjami przedstawiającymi najciekawsze chwile bitew, ważniejsze wizerunki znakomitych mężów biorących udział w wypadkach.

Osobom nadsyłającym z Gubernij lub Cesarstwa Rs. 1 na 6 poszytów takowe pod opaską wysłane zostaną po wyjściu. Objętość dzieła dotąd nie wiadoma.

Dzieje drugiego Cesarstwa już się znajdują w opracowaniu i wkrótce poszytami wychodzić będą.

O rychłe zgłaszanie się prenumeratorów miejscowych po poszyta **Wojny** uprasza się, gdyż drukować się będzie następnych zeszytów, tylko odpowiednią ilość egzemplarzy.

Nowo-nabywcy zechcą nadsyłać na całe dzieło Rs. 3 kop. 30,

do Wydawcy

Józefa Kaufmana,

Krakowskie-Przedmieście Nr. 443.



W. I. Mich.
ze zbioru
Książki



Noc Świętojńska.

Egz. archiwalny IBL

KSIĘGA PIEŚNI

Zeszyt IV-ty i V-ty.

POEZYE DEOTYMY.



INSTYTUT
BADAN LITERACYJNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA,
Nakładem Józefa Kaufmana.

—
1872.



569

OCZEKIWANIE.

Wicher gra jak na organie,
Białe snują się zamiecie,
Nie ma większej troski w świecie,
Nad oczekiwanie!

Choć w zawiei nie znać słońca,
Codzień wychodzę na ganek,
Tam przestoję cały ranek,
Wyczekuję gońca.

W wieczór nie idę do tańca,
Mróz wzorzysty ścięram z szyby,
I na gwiazdy patrzę niby,
A czekam posłańca.

* * *

Szeleściły zżółkłe liście,
Gdyśmy z bólu skamieniali
Na długo się rozstawali,
Ale nie wieczyście!

Pobłogosław jemu Boże,
 Powodzenie daj mu z chwałą —
 A co niegdyś się nie stało,
 Kiedyś stać się może....

Nie zapomnę owej chwili:
 Od bladości, tak był biały!
 Ani łzy-śmy nie zronili,
 Łzy później tryskały!

Na jego męskiej prawicy
 Kręcił się sokół ognisty.
 „Przez niego”, rzekł smutno-licy,
 „Będę ci słał listy!”

Jam mu ufnie uwierzyła!
 Na wronego wsiadł konika,
 Z ganku widziałam jak znika....
 Znikła moja siła.

* * *

Czy zaklął czarownik jaki?
 Czy obraziłam anioła?
 Przelatują wszystkie ptaki,
 Wszystkie, prócz sokoła!

Wiem że pisał do przyjaciół;
 Tylko o mnie zapomina!

Czy się w żalu gorzkim zaciął?

Smutnaż ja dziewczyna.

Za cóż na mnie mścić się w gniewie?

Byłamże ja kiedy złudną?

Jednak milczy. Ach czyż nie wie

Jak to czekać trudno!

Cóż ja winna w winie losów?

Niebo dzieli nas niezłomnie.

Niech nie pisze do niebiosów,

Lecz na ziemi, do mnie!

Ach niech pisze i do nieba!

Może wolę jego zmieni.

Wiele modlić się tym trzeba,

Co są rozłączeni.

Jak gromnica smutnie pałam,

Chmury przebijam oczyma.

Tyle niedziel przeczekałam,

A sokoła niema!

* * *

Co tak leci? To nie sokół,

Tylko jakieś orle młode,

Czarnem okiem świecąc w okół,

Płynie przez pogodę.

Szczęśne skrzydlate wędrowce!
 Ach on właśnie leci w strony,
 Gdzie odjeżdżał przez manowce,
 Jego konik wrony.

Niech cię orle, gwiazdy strzegą!
 Płowe pióra masz jak złoto.
 Zlituj się nad mą tęsknotą
 Leć prosto do niego!

Poleć i powiedz mu szczerze:
 Jak ja czekam niecierpliwie,
 Jak się lękam, jak się dziwię,
 I wątpię i wierzę.

Mój orzełek skinął główką —
 Spokojniejsza już zostanę,
 On poniesie moje słówko,
 Choć nie w list wpisane.

* * *

Teraz, poczekam roztropnie,
 Wezmę igłę, stłumię trwogi.
 Wiem, że trzeba z dołą drogi,
 Nim ptak celu dopnie.

* * *

Teraz już bliżuchno końca:
 On wziął piórko, kręśli słowa:
 Wiąże się wstążka różowa.
 Dzień drogi dla gońca.

No—teraz już dość czekania.
 Dni mi dłuższe od stuleci.
 Co się tak po chmurach śłania?
 Sokół z nieba leci!

Otwierajmy mu okienko,
 Z węzła uwolnijmy szyję...
 Przewiązany wstążką cienką
 Biały liść się wije.

Dawaj co miłość przysyła!
 Niech na listku usta złoży—
 A Ty wybacz dobry Boże:
 Jam o nim wątpiła!...

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

Romans do śpiewu przy towarzyszeniu wioli.

26 Czerwca 1869 r.

Słowik.

Królowo moja! Rózo jedyna!
Wejrzyj ku niebu: oto godzina,
W której się ciemność ze dniem przesili.
Ach! czy pamiętasz? podobnej nocy,
Jak się przesilał nasz los sierocy,
Kiedy to jeszcze ludźmi-śmy byli?

Róża.

Czy ją pamiętam? On o to pyta!
Toż kropla rosy, w kwiecie ukryta,
Może od zmroku przetrwać do rana.
Czyż łza miłości nie wytrwa dłużej?
Chociażbym kwitła do setnej wiosny,
Tę świętojańskiej nocy żalostnej
Nic nie wygładzi w sercu twój róży.

Słowik.

Pomnę... od świtu szedłem daleko;
Ciągle nad wodą, nad naszą rzeką,

Gdzie dziewy miały los badać kwiatem.
Może tam ujrzę moje dziewicę?
Może, dumałem, wianek jej chwyć?
Wszak miłość, mówią, rządzi tym światem.

Zkąd takie myśli biegły przedemną?
Wszak jam nie wiedział żeś mi wzajemną.
Prawdziwa miłość dziwnie nieśmiała!
Jam tylko wiedział, że pan bogaty
Do twój rodziny posyłał swaty;
Dom twój go witał, — a tyś milczała.

Jam był ubogi; za skarb jedyny
Nosilem serce chciwe na czyny,
Rzewnie namiętne, jak śpiew słowicy,
I jakąś jeszcze siłę nieznaną,
Którój mi wówczas pojąć nie dano;
Jam świętojańskiej nie znał zdobyczy!

Cały dzień błądząc, zwolna widziałem,
Jak tłum nadpływał kraśnym nawałem.
Wianek za wiankiem fruwał kolejną.
Choć nie mówiłaś czy przyjdiesz z wieńcem
Choć już się zachód oblał rumieńcem,
Jam czekał jeszcze; — miłość... nadzieją! —
W końcu zabłysła!

Róża.

I ja od rana,
Wyszłam do lasu, wyszłam splakana;
Tysiąc się kwiatów prosiło w lesie,
Lecz ja zoczyłam krzak dzikiej róży,
I już nie chciałam wybierać dłużej;—
Może mi róża szczęście przyniesie.

Wpół od radości, a wpół od gniewu,
Poobrywałam cały kwiat z krzewu,
Plotłam rękami, zaklełam łzami.
Niechże raz jeden, mówiłam sobie,
Z okrutnym losem tę próbę zrobię;
Wszak los nie człowiek, on nie omami.

Przebacz.... mnie samą wstyd dziś przenika;
Ja ciebie brałam za obłudnika!
Że się twe serce ku memu skłania,
Wiedziałam,—dziewczę zawsze dostrzeże....
Ale wątpiłam czy kochasz szczerze?
Wszak nie słyszałam z twych ust wyznania!
Jeżeli jeszcze, rzekłam stroskana,
Nie przeczył w wilję świętego Jana,
Że mię z różami spotka na moście,
Jeżeli za niemi w łódkę nie skoczy,
Zamrozę serce, wyjaśnię oczy;
Niech goją huczają, niech jadą goście.

Ach! bo sierocie, wyrok rodziny
Jutro zaznaczył już zaręczyny
Z bogaczem zimnym jak senna mara.
Już nikt nie zważał na me zwlekanie,
A ja wierzyłam, że się coś stanie.
Co nas połączy:— miłość, to wiara.

Dopóki w lesie, byłam tak śmiała;
Ale gdy w tłumie, jakżem truchlała...
Róże pod białą kryłam zasłoną.
Aby swój wianek puścić na fale
Tak w obec ludzi, potrzeba wcale
Nie mieć miłości, lub mieć szaloną.

Mnie się zdawało, że wszystkie oczy
Na mnie zwrócone, w serca przezroczy,
Mą tajemnicę sledzą ciekawie;
A gdy ujrzałam jeszcze nad wodą,
Tyle rówiennic pysznych urodą,
Jak ja, pytałam, przed nim się stawię?

Słowik.

Czyż ja prócz ciebie widziałem kogo?
Kiedy wschodziłaś płonąca trwogą,
To jakby na raz dwa słońca błysły!
Gdy wianek wodnej rzuciłaś tęczy,
Pytałem, czemu ten lud nie klęczy?
Tyś mi się zdała boginią Wisły.

Skoczyłem w czółno, porwałem wiosło,
 Jak myśl pędziłem, serce mię niosło.
 Już, już go chwytam... los chciał inaczej!
 Wianek jak senne pierzchał złudzenie,
 Uciekł i przepadł w morskie bezdenie,
 A ja... spojrzałem w morze rospaczy.

Czółno puściłem na wolę fali,
 Leżąc jak martwy.—U brzegu w dali
 Dogorywały ognie Sobótki,
 Jak szczęścia mego wypalenisko;
 Noc wiała żarem,—las kładł się nizko;
 Czasem kiść kwiatu spadła do łódki.

Raz paproć moje musnęła głowę...
 Dotknięcie lekkie, a piorunowe!—
 Wszak to dziś kwitnie ów kwiat paproci,
 Co ludzi darzy oczy takimi,
 Że widzą skarby zaklęte w ziemi?
 Znajdę! On czarę dni mych wyzłoci!
 I ja się stanę jak król bogaty,
 Mojej królowej słać będę swaty,
 Poślę obrączkę, odbiorę wianek.

Wybiegłem z łódki. Choć na kraj świata,
 Pójdę go szukać przez dni i lata,
 Jak tylko szukać umie kochanek.

Ścieżką robaczek szedł cichuteczko,
Ze świętojańską swą latareczką,
Nabłogosławić go się nie mogę!
On mię prowadził wiernem żarzewiem.
Jak szliśmy długo? gdzie szliśmy? nie wiem.
Wiem, że do kwiatu pokazał drogę.
Ach, i znalazłem! Ale cóż? nie to
Czego szukałem. Skarb to bez granic,
Lecz między ludźmi nie zda się na nic.
Jam przez cierpienie został—poetą.

I gdy wróciłem z puszczy do świata,
Nikt mię nie poznał; dusza skrzydlata
Biła się we mnie, jak ptaszę w burzy.
Trony na ziemi, gwiazdy na niebie,
Miałem dla wszystkich,—oprócz dla siebie.
Bo też i żyć już nie chciałem dłużej.
Nie miałem komu śpiewać na ziemi,
Jam cię nie znalazł między żywemi,
Znalazłem grób twój,—przy nim krzak róży.

Róża.

Gdys z łódką zniknął, stałam zmartwiała,
Łudząc się jeszcze, że sen mię łudzi.
Już mię nie trwożył dziwny wzrok ludzi.
Tłum się rozplynał, — jam jeszcze stała,
Aż przyszli krewni, pod ręce wzięli;

Z rana mię całą ubrano w bieli,
Zaręczynowy pierścień włożono.
Ja ani mdlałam, ani płakałam;
Czułam, że dziwnym rumieńcem pałam;
Płomień mi w czoło wrastał koroną.

Od owej nocy wiedłam tajemnie.
Wszyscy płakali, patrzyli we mnie,
Nawet on płakał nad narzeczoną.

Nie długo potem leżałam w grobie,
Chciałam natenczas pomyśleć sobie
O wielkim Bogu, o jasnym niebie.
Chciałam — nie mogłam... ciągle w oddali
Widziałam wianek na zdradnej fali,
Widziałam tylko róże i ciebie!

A w grobie coraz zimniej i czarniej...
Aż Bóg położył kres tej męczarni.
Do grobu mego anioł zszedł w gości,
Z gwiazdą u czoła, co się rozplania
Różowo, (pewnie anioł kochania).

„Kto, wyrzekł, umrze z ziemskiej miłości,
Nie godzien nieba, lecz godzien raj...
Wrośnijże w ziemię, serce różane,
Aż samo nieba zechcesz w zamianę.”

Rzekł, jam się różą zbudziła w gaju.
Była noc — czyste jak łąka niebiosy.
Wypiłam chciwie kropelkę rosy,
Czułam, że dziwnym rumieniem pałam.
Dźwięk brylantowy sypnął się z drzewa....
Patrzę, gdzie jestem? słucham, kto śpiewa?
Tak, jestem w raj! twój głos poznałam!...

Słowik.

Jam dni przepędzał przy twoim grobie,
Pieśnią cię wołał, płakał po tobie.
Bywa, że słowik śpiewa bez końca,
Aż się zaśpiewa na śmierć. Tak we mnie
Rana tęsknoty rosła tajemnie.
Aż raz pastuszek, o wschodzie słońca,
Znalazł me zwłoki. Tłum zszedł się ku mnie.
Kładziono wieńce na mojej trumnie,
I wszystko zcichło.—Ja leżąc w grobie,
Chciałem zbudować pieśń o wawrzynach,
Wielkich nieszczęściach i wielkich czynach,
Pieśń się składała zawsze o tobie.
Lecz była smutna;—bo choć umarły,
Jeszcze się moje rany nie zwały.
Aż też i do mnie anioł zszedł w gości,
Z gwiazdą błękitną, co rozpromienia
Sam grób, (zapewnie anioł natchnienia).

„Kto, rzekł, był śpiewcą ziemskiej miłości,
 Nie godzien nieba, lecz godzien raj.
 Śpiewajże ziemię, serce splakane,
 Aż hymnów nieba zechcesz w zamianę.”

Rzekł, — jam się zbudził słowikiem w gaju.
 Szczęsny, kto skrzydłem raz pierwszy wzlecił
 O skrzydłach wiecznie marzą poeci.
 Jam je miał; — księżyc błyszczał po burzy;
 Mnie wciąż bolało serce splakane.
 Aż oto... balsam padł mi na ranę;
 Tem pełniej żyłem, im padał dłużej.
 Zkądże przywionął prąd aromatu?
 Patrzę: zapewne z bliskiego kwiatu.
 Poznałem różę i ciebie w róży!

Róża.

Wieszczu mój, powiedz, czyby nie trzeba
 Już nam się z raję wybrać do nieba?
 Mnie ztąd nie spieszno, ale się boję,
 Czy nie obrażą się archanieli,
 Żeśmy tak długo ich zapomnieli?

Słowik.

Różyczko moja! natchnienie moje!
 Zkąd ci ta troska? Czy niepokoje
 Są niewieściego serca potrzeba?...

I do mnie anioł przemawiał w grobie,
A jam się na to uśmiechnął w sobie:
Kto z nas dwóch lepiej wie gdzie jest niebo?

[Człowiek zna więcej niż aniołowie,
Bo zna cierpienie. Wierz co ci powie
Serce, ta wieszczba słowiczo-głosa:
Niebo nie przy nas, lecz w nas się tworzy.
Gdziekolwiek żyją w zgodności bożej
Miłość z poezją, tam są niebiosy.]

„TY PÓJDZIESZ GÓRA, JA PÓJDE DOLINA”.

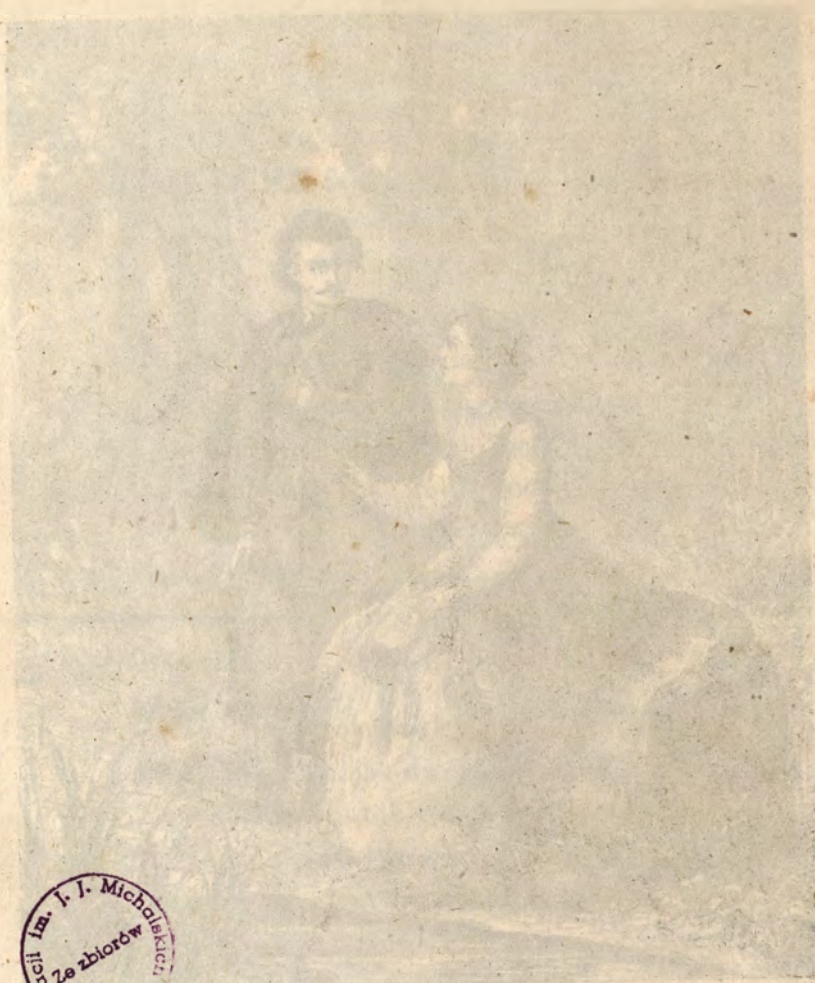
9 Września 1869 r.

Księgi mówiły, ludzie mi mówili,
Ze wszystko mylne, lecz jedno, jedyne
Przecucie serca nigdy nie omyli.
Ja uwierzyłam w tę dobrą nowinę,
I życie lekko niosłam od tej chwili,
Jak dziecię wierzy na słowo matczyne.
Aż czas, co wszystko rwie niepostrzeżenie,
I na tej wierze napisał: *Złudzenie*.

Znałam ich dwoje; ich gwiazdy w błękicie
Świeciły blisko, jak dwoje ócz świeci.
Za to ich ścieżki tak różnie szły w życie,
Ze się nie mogli wśród krętej dróg sieci,
Ni jawnie spotkać, ni dopatrzeć skrycie.
Lecz mój wzrok (czegoż nie dojrzą poeci?)
Obie ich drogi widział jednocześnie;
Gdzie? już nie pomnę, — na jawie, czy we śnie?



Ty pójdziesz górą, a ja dolina.



Fundacja
Im. J. J. Michałkiewicza
Ze zbiorów

Ona szła górą, a on szedł doliną.
W tęczach płynęła po obłocznej bieli.
W puszczych jarach łamał się z lawiną.
Oboje uśmiech i hart jeden mieli.
A ja pytałam, czy zawsze się miną?
Skarżyłam życie, dla czego ich dzieli,
Kiedy ich gwiazdy tak blizkie na niebie,
I jak dwie gwiazdy podobni do siebie?

Ach! wyście jednak nieraz się przeculi!
Lecz kształt przecucia chodził w marzeń szacie.
Gdyście z osobna swe rojenia snuli,
Ideal wzajem brał wasze postacie.
A wy pytając, czy na ziemskiej kuli,
Czy aż na innych go światach spotkacie,
Szlście samotni, zatęsknieni w tłumie,
Co chłód wasz ganił i dziwił się dumie.

Aż przyszła chwila (jakby dziś ją pomnę),
Kiedy jej ścieżka, lodowcem zepchnięta,
Z grozy chmur zbiegła nad poniki skromne,
Gdy jego ścieżka, schwycona jak w pętą,
Przez nurt i ściany przepaści niezłomne,
Na stok wybiegła, jako piorun kręta,
I na wół góry zeszyły się ich drogi,
I objawili się sobie, jak bogi.

Słowa zamienić jeszcze nie zdążyli,
Już głos w nich szepnął: „Wszak to on!” — „To ona!”
A ja szepnęłam: „Jeżeli w jakiej chwili
„To w tej zaiste, przyszłość mię przekona,
„Czy serce pierwszym przeczuciem nie myli?”
A drżąca byłam, cała zapatrzona,
Jakby w mą własną, w przyszłość owej pary.
Ach! mnie chodziło o klejnot mej wiary!

Miejscem spotkania była górską łączka;
Eden maleńki, lecz w urok bogaty.
Na wzgórzach w koło zgiętych jak obręczka,
Las go ogradzał iglastemi kraty;
Wązki wodospad, jak perłowa sprzączka
Przepinał razem skały, las i kwiaty,
Bo łąka była kwiatami nabita,
Jak dusza, kiedy raz pierwszy rozkwita.

Podczas gdy wzrok mój błędził po tej hali,
Oni w rozmowie stłumionej, lecz szybkiej,
Całą swą przeszłość już wypowiedali;
I jakby razem chowani z kolébki,
Szli zwolna, brodząc w ziół i kwiatów fali;
Tak dwa łabędzie toczą pochód gibki.—
Czasem stanęli wśród skał, by z uśmiechem
Wzajem swe imie wywoływać echem.

Aż doszli źródła. Na rozłomie głazu.
Siedli; on zrywał różowe jagody,
I na listeczku jój przynosił.—Zrazu
Wzrok ich był trwożny, tylko w szybie wody
Wzajem szukali swojego obrazu;
Nagle spojrzeli, ruchem dziwnej zgody,
Wyżej, nie w źródło, co ze skał się toczy.
Lecz w źródło czarów i łez, w żywe oczy.

Od téj się chwili stali jacyś inni.
Nad zagadkami życia zadumani,
Jako starcowie, a w życiu dziecinni.
Z prostotą ufni, choć jeszcze nieznani,
Płomienni myślą, a sercem niewinni.—
Jak zawieszeni w pośród dwóch otchłani,
Stali na dziwnem międzymorzu owem,
Gdzie miłość wszystkim już mówi, prócz słowem.

Łzą, co zrenicę przemienia na djament,
Albo uśmiechem, co usta w kwiat zmienia;
Tą grą oblicza, co ma jak firmament
Gwiazdy i burze, słońca i zaćmienia;
I tą grą ruchów, co jak fali zamęt,
Zdradza bijące na jój dnie wzruszenia;
I przelotami owéj nagłej ciszy,
Gdzie sam duch milczy, a milczenie słyszy.

To czas przedburza.—Bywa, że w przedburze
Wicher się zrywa i znów się pokłania.
W sercu dwa prądy biegną jak w naturze,
Jeden z nich woła: „Spuścmy grom wyznania!”
A drugi błaga: „Niech jeszcze przedłużę
„Ten niewymowny dreszcz oczekiwania...” —
I także bywa, że gdy wicher czeka,
Burza omdleje, i przejdzie zdaleka.

Tak się tu stało. Ona, chcąc z obawą
Oddalić chwilę stanowczą dramatu,
Wzrokiem pytania w krąg powlokła łzawo:
Ujrzała w dali kwiat z barwą szkarłatu.
„Jak piękny!” rzekła: on, z niemą postawą
Zachwytu, niby nie słyszał; aż kwiatu
Tak się napała, że musiał, jak dziecię
Od stóp jój powstać i pójść po jój kwiecie.

Przestrzenie w górach złudne są dla oka;
Kwiat purpurowy zdawał się tak blisko,
A drogę cięła szczelina głęboka.
Tam on się puścił;—lecz i ona, ślizką
Steczką, podbiegła w górę, i z wysoka
Śmiała się, skryta za mszyste urwisko,
Tą się pustotą mszcząc, że nie od razu
Jój wszechwładnego usłuchał rozkazu.

Gdy ze szkarłatną powrócił zdobyczą,
Już jój nie było; stanął porażony.
Lecz się uśmiechnął zaraz tajemniczo...
Z za głazu dojrzał brzeżek jój zasłony.
Ręką pogroził z przekorną słodyczą
I chciał jój zabiedz od przeciwnój strony,
By mu nie pierchła; krąg zakreślił chyży,
Lecz ona coraz uciekała wyżej.

Jak dwa motyle igrają na łące,
Jak się dwie rybki gonią przez odmęty,
Jak dwa skowronki w słońcu wirujące,
Tak oni, krążąc w skręty i rozkręty,
Głosem się tylko wiązali w rozłące.
Aż on, uporną jój ucieczką tknięty,
Nagle się wstrzymał, i siadłszy pod drzewem,
Ręce założył z udawanym gniewem.

Jak ptaszę patrzy z za prątków ciekawie,
Tak, zadziwiona milczeniem zbyt długiem,
Z gąszczu wyjrzała w niepewnej postawie,
I już zielonym zestąpiła smugiem.
Wtedy on, mszcząc się w odwetowem prawie,
Zaczął uciekać po wybrzeżu drugiem.
I biegli równo, blizcy siebie znowu,
Lecz rozdzieleni przecięciem parowu.

Czemuż nie miały piór nasze gołębie?
 Parów nie znacznie wąwozem się stawał,
 Potokiem toczył przez pomroczone głębie,
 Coraz tłumniejszy pni i złomów nawał;
 Brzegi rozszczepiał jak skrzydła jastrzębie,
 W ziemię się coraz przepaściściej wkrawał,
 Aż rozwarł paszczę i stał się otchłanią.
 Ach, gdyby sercem zarzucić most na nią!..

Oboje razem stanęli jak wryci.
 Ku łączce chcieli powrócić oboje,
 Ale kto szczęścia w pierwszy lot nie chwyci,
 Niech sobie powie: „Żegnaj szczęście moje!”
 Wspomnieniom brakło Arjadnowej nici.
 Skracając drogę, przeskakując zdroje,
 Sami nie wiedzą, w leśnym pół-przezroczu,
 Jak się i kiedy utracili z oczu?

Żeby też można przesłać im przestroge:
 „Tędy!...” — Raz jeszcze oto się ujrzeli,
 Raz! Chciałam wołać, próbuję... nie mogę!
 Świat marzeń, ludzi od poetów dzieli. —
 Ją sęp nastraszył i zmyliła drogę.
 On, przynęcony od jakowéjs bieli,
 Wśród skał zabłądził; zbiegł do wodospadu,
 Lecz do innego, — a jój, ani śladu.

Odtąd się tylko tęsknemi wyrazy,
Długiem hukaniem wabili wzajemnie.
Głos przeleciawszy wśród nich kilka razy,
Znikł, jaskiniami schłonięty tajemnie.
Zeszli do górskiej nie jednej oazy,
Lecz nie do tamtej! — Aż zwolna i we mnie,
Zaczęło serce zapytywać z trwogą,
Czy jeszcze kiedy odszukać się mogą.

Przeklęty kwiatku! Blizki a daleki!
Godło rozstania! Usłysz moją mowę:
Oby do morza uniosły cię rzeki!
Obyś rozpięty na łożu mumjowe,
W żółtym zielniku spoczywał na wieki!
Niech wina spadnie na twą krwawą głowę!
Bo tej pewności nic we mnie nie zmieni,
Że od gwiazd byli sobie przeznaczeni.

„Teraz-to, rzekłam, dopiero zobaczę
„Nieukojone niczem niepokoje.
„Będaż to jęki! Będaż to rozpacz! —
„Samem przecuciem już cierpię za dwoje.
„On się zabije, ona się zapłacze,
„I z żalu skona. Spojrzec się tam boję...”
I długo oczów nie wzniosłam struchlała;—
Aż gdy podniosłam.... ach! cóżem ujrzała?

Idą spokojnie, idą obojętnie,
Jakby starcowie, czy raczej jak dzieci.
Może ich oczy mgłą zachodzą smętnie,
Ale w tych oczach żadna łza nie świeci.
Może drga boleść w pędzszym serca tętnie,
Lecz jój nie dojrzy nikt, nawet poeci.
Życie nie książka. — Próżna trwoga cała!
Ni on się zabił, ni ona skonała.

Niemość rozpaczy, — tak sądziłam zrazu.
Raz też istotnie, gdy przy małym zdroju
Siadła (jak ówdzie!) na rozłomie głazu,
Zajrzała w wodę wzrokiem niepokoju,
Jakby szukała czyjgoś obrazu,
I ust musnięciem tknęła liść powoju.
Lecz wnet po czole przesunęła rękę,
I poszła, nucąc pasterską piosenkę.

On, raz napotkał u wiszaru drogi,
Krzak obsypany w liście purpurowe;
Widząc je, rzucił krzyk drapieźnie srogi,
Obu rękami chwycił się za głowę,
Obrywał kwiaty, ciskał je pod nogi,
Deptał, sam z sobą wiódł gniewną rozmowę,
Aż... dał znak ręką, jak na pośmiewisko,
I odszedł, nucąc piosenkę myśliwską.

Zwolna, podróżnych spotykać zaczęli,
 Wyszli na szersze gościńce żywota,
 Szli w tłumie różni, nieledwie weseli,
 Do celów nowych wrzała w nich ochota;
 Śmieli się nawet, — tak, oni się śmieli!
 Ja, wciąż pytając, gdzie żal, gdzie tęsknota?
 Zaczęłam wąpić w duchowej jesieni,
 Czy kiedy byli sobie przeznaczeni?

W szeregu imion, jaki tłumy gwarzą,
 Nieraz o jednym przed drugim mówiono;
 Żebyż zmięszaną zdradzili się twarzą!
 Żebyż wzruszenie podniosło im łono!—
 Ja z oburzeniem, w którym łyż się ważą,
 Spojrzałam w niebo: byłam przeświadczoną,
 Że gdy ich serca tak dalekie siebie,
 Już się i gwiazdy rozeszły na niebie.

Nie! Jedna z drugą koło w kole toczy,
 Jakby w objęcia brały się wzajemnie.
 Czemuż tam jasno, kiedy tu się mroczy?
 Tysiące pytań zahuczały we mnie.
 Gwiazdy! ja kłamstwo wam rzuciłam w oczy;
 Gwiazdy się tylko uśmiechnęły ze mnie,
 I rzekły: „Serce uspokój w błękicie.
 „Czyż jednym życiem człowiek spełnia życie?

„Wy, zadziwieni sceny wyrwanemi,
„Możecieź sądzić o boskich dramatach?
„Miłość prologiem zaczęta na ziemi,
„Może na innych rozegra się światach.
„Wam czucia więdną z kwiatami waszemi,
„Ale są światy o niezwiędłych kwiatach”.
Tak, widok nieba kojąc nieskończenie,
Z księgi mych myśli starł słowo: *Złudzenie*.

Szerszą się wiarą zapisała księga,
„Tak, zawołałam, przeczucie nie myli,
„Tylko że dalej niż sądzimy sięga.
„Spokojni? Wiedzą, że choć się stracili,
„To nie na zawsze, i ztąd ich potęga.
„Kto raz się znalazł, ten się w danej chwili
„Odnajdzie, niebu wiadomym sposobem;
„Tylko pytanie, czy przed, czy za grobem?”

Z A W S Z E S A M.

(z Dramatu 1865 r.)

Oj miesiącu! Niechże ciebie
Z twoim smutkiem! Znam go, znam....
Tyś jest zawsze sam na niebie,
Ja na ziemi sam.

Strun aż siedem w gęśli brzęczy,
W grodzie aż dwanaście bram,
Barw aż sto się mieni w tęczy,
A ja zawsze sam.

Dola z Troską razem stoją,
Każde Tu ma swoje Tam,
Nawet miecz ma pochwę swoją,
A ja zawsze sam!

Wszystko śmieje się do siebie,
Wszystko mówi „My” i „Nam”,
Tylko miesiąc sam na niebie,
Ja na ziemi sam.

STANOWISKO KOBIETY.

ODA

OFIAROWANA

Konstancji Wodzińskiej.

18 luty 1870 r.

Pieśń zbrojna twem imieniem, brzmi silniej i czulej,
Chrześcjancko, co na drogach cnoty i boleści
Przedstawiasz nieskażony wzór duszy niewieściej.
—Oto przyszłość pod skrzydła przeszłości się tuli.

ODA.

Między słońcami dziejów, na niebiesiech ducha,
Nieobliczonym rozpędem komety,
Jawi się i zaćmiewa, iskrząca a głucha
Władza kobiety.

Gdy duch męski, chwyciwszy cugle trzeźwej myśli,
Jasno wytknąwszy cel, szranki i pole,
Elipsę toczy w przeznaczenia kole,
Duch niewiasty we mgłach kręśli
Nieścignioną parabolę.
Rzekłbyś, że skrzydła zdała na przypadku wolę,

Ale nie drżycie o nią, nie drżycie! I ona,
Ta dziwna, ta niezgadniona,
Ma swą drogę, nieugięcie
Wypisaną w firmamencie.

Tylko, że jak dla komety,
W jej obiegu są dwie mety,
Dwa ogniska, gwiazdy dwie,
Ta jak dzień, tamta jak noc,
Których wojująca moc,
Dwoma bieguny ją rwie.

To też pytać jej nie trzeba,
Czy gdziekolwiek krańce zna?
Kiedy dosięgnie nieba, to siódmego nieba.
Kiedy zstąpi do piekieł, to aż do ich dna.

Na ten widok, kogoż zdziwi
Sąd podwójny o niewieście?

Wszak wy mówicie sami, że jesteście
Przez nią szczęśliwi, przez nią nieszczęśliwi?

Prawo ją wiecznie stawia w drugim rzędzie,
A miłość stawia po nad wszystkie stopnie,—
Niech jawnie żąda, niczego nie dopnie,
Niech prosząc każe, a wszystko zdobędzie.

Jej ręce okute w pęta,
 A na jej włosach, korona.
 Przez wszystkie wiary wyklęta,
 Na wszystkich ołtarzach czczona..

Nauka je pomiędzy niższe twory strąca,
 Sztuka ją w ideału wieńczy aureole.
 Kusicielka zbawczyni, branka królująca,
 Wąż u stóp, gwiazda na czole.

Wysłuchaj się w dramat dziejów, śledź ludów roz-
 (mowę,
 Tam same głosy męskie wołają: „Żyjemy!”
 Tłum niewiast się przesuwają jak chór cieniów, niemy,
 Ledwie czasem w świat rzuci imię wyjątkowe,
 Co zaświadcza przez samą cześć i podziwianie,
 Że jest tylko wyjątkiem.

Gdyby niespodzianie,
 Postęp, ów jeździec apokaliptowy,
 Co pędzi wsiadłszy na czas,
 Surowo zapytał nas:

Cośmy przyniosły do dziejów budowy?
 Jakie stworzyły zakony?
 Jakie spisały ustawy?
 Gdzie pomniki naszej sławy?

Naszego genjuszu plony?
 Nasze dla wiedzy zdobycze?
 Nasza dla sztuk twórcza siła?

Ach lękam się zaprawdę... z wiekami się liczę,
 Zkąd mam zdobyć odpowiedź?...

Jużem ją zdobyła!

Ty którego niesie czas,
 Spójrzij tylko przez łzę bożą,
 W dzieje tych co dzieje tworzą,
 A w ich sercach, znajdziesz ... nas!

— Jeździec uśmiechnął się ze mnie,
 Jak mędrzec się uśmiecha na dowcip dziecięcy.
 Spał rumaka ostrogą i szepnął tajemnie:
 „Dla przeszłości, to dosyć; lecz postęp chce więcej”.

Choć szept był cichy, echo po nim się rozstrzasło,
 Jakby w trzęsieniu ziemi, w jednej niewiast skardze.
 Skargo, ty precz odemnie! twem kwileniem gardzę,
 Lecz wiem, że skarga, to hasło.

Co się stało? jakby w mieście,
 Gdy uderzy spiz na trwozę,
 Tak nieme tłumy niewieście,
 Przemówiły... gwarną rzeszą
 Gdzieś się śpieszą...



Gdzie? Niepewne,—każdego pytają o drogę.

Wiek nasz! ty zwan będziesz wielkim kobiet wie-
(kiem!

Niewiasta się ozwała z żądaniem nieznanem :

Dotąd, aniołem była, lub szatanem,

Dzisiaj chce zostać człowiekiem.

Ach stójmy!... nim dotkniemy wrzeczędzów tój
(bramy,

Za którą chodzą duchy jasne, lub złowieszcze,

Chwilę... rozmyślmy się jeszcze,

Czy nie stracimy więcej niż zyskamy?

Nie czas ostrzegać! rwaniem niewstrzymanem,

Ci rwą się, co z czasem biega.

Więc idźmy, siostry! postęp nam hetmanem!

Tylko, — w sumieniu, królestwa Bożego

Strzeżmy, a wszystko będzie nam dodanem.



Opisane są w...



Objawienie się Muzy.

OBJAWIENIE SIĘ MUZY.

Wybrzeże Grecji. Po lewej stronie morze; nad niem brzeg skalisty.
Dalej góry oświetlone złotą i fioletową luną zachodzącego słońca.
Na pochyłości gór zwaliska świątyni. U brzegu uwiązana łódka.

Wchodzi Podróżny.

Po długich wędrowaniach, staje więc na ziemi,
Gdzie człowiek bogów zwołał i gdzie śmiał żyć
(z niemi.

Tu dusza, z codziennego letargu zbudzona,
Jakby w powietrzu piła eliksir młodości,
Porywa się i wita dawno znanych gości,
Bohaterów Plutarcha i mędrców Platona.

Przyjmij pokłon miłosny, ty marzeń mych celu,
Hellado, co jak bujne liście kapitelu
Wykwitłaś wszechpięknością na dziejów kolumnie!

Choć w huraganie wieków zwiły skrzydła twoje,
Choć tyle krwi zbryzgało twych szat białe zwoje,
Dzisiaj jeszcze z sarkofagu uśmiechasz się ku mnie.

(Siada na odłame głazu).

Księga Pieśni—Zeszyt V.

Tu duch mój, wytrzeźwiony z szyderstwa, co tknęło
 Nasz wiek goryczy, może zrozumie przytomnie,
 Czego geñjusz przeznaczeń spodzięwa się po mnie?
 Wszak on każdemu daje do spełnienia dzieło.
 I niech się nikt nie żali, że mu żyć przystało
 W dniach gdy nie ma co czynić. Czyż chce, nieru-
 (chomy,

Siąść u szczytów, jak niegdyś bogowie błękitni,
 I tylko w kataklizmach świata ciskać gromy?
 Życie może przeczekać! — Nieraz robić mało,
 Bywa trudniej niż wiele, trudniej, więc zaszczytniej.

I mnie, duchu przyszłości, rzucasz kartę białą!
 Czuję w sobie potęgi co rwą się do życia,
 Chcą stwarzać i budować. Lecz pierw, jak podróżny,
 Pragnąłem obiedz przeszłość sprawdzić jej odkrycia,
 Zwycięstwa i przegrane, — by w pracy* napróznej,
 Nie błądzić po manowcach, gdzie błądziło wielu,
 Nie gonić za skarbami które już zdobyto.

Jest przecie kres wahaniu. Podróż woła celu.
 Oto kraj, gdzie raz pierwszy została wryta,
 Pierwsza ustawa wiedzy: „Znaj samego siebie”,
 Kraj gdzie wieszcz, zanim sięgnął po laur epopei,
 Nim rozpiął skrzydła ody, — wzrok zatapiał w niebie
 I wzywał boskiej muzy. — I ja, w odyssei
 Mych dni, w ojczyźnie twojej, muzo! wzywam ciebie!

Oto trzymam tablicę życia marmurową;
Muzo! powiedz mi, jakie wyryć na niej słowo?

(Wśród zwalisk świątyni, ukazuje się postać Muzy, w powłóczyściej białej szacie, w wieńcu z liści na głowie).

Podróżny.

Bogi niebieskie! Cóż to za zjawienie?

Czy mgła się podniosła z morza

I jakąś myśl Fidyasza unosi w przestworza?

Czy posąg dawny, uspiiony na kwiatach,

Z pomiędzy ruin wstał niepostrzeżenie

I przyszedł zajrzeć na czatach,

Czy nowa nie wschodzi zorza?

(Chwila milczenia).

Ani mgła—ani posąg.—Zagadka nad siły.

Czy powietrze tych krain zwięwa łuskę z oczu?

Czy gdzieś na drodze, pod skałą,

Węzeł zaplotłszy w warkoczu,

Czarodziejki Tessalji urok mi rzuciły,

Że mię szaleństwo piękna obłąkało?

(Milczenie).

Szał czy zakłęcie,

Sny czyli cuda,

O niech się święci, niech zwodzi mnie święcie,

Błogosławiona ułuda!

Nie śmiem odetchnąć, by się nie rozwiała...
 Chciałbym pójść bliżej, bliżej, a truchleję;
 Że z owem bliżej wszystko się rozwieje,
 Jak wszystkie cuda, jak wszystkie nadzieje!

(Muza zstępuje z wolna z pomiędzy zwałisk, schodzi na brzeg wyniosły i oparta o skałę, spogląda na morze).

Podróżny.

Tak, spływaj z wyżyn, wizjo moja biała!
 Zarysowaną na tle błękitu,
 W drżącym powietrzu unosi ją skała,
 Jak gdyby w niej zmartwychwstała
 Grecja cała!

Zbiegajcie się narody, klękajcie z zachwytu!

Nie, tyś nie zwodną złudą wyobraźni,
 Widzę cię bliżej, a widzę wyraźniej.
 O, gdyby jeszcze zechciała
 W tę stronę zwrócić oblicze!

.

Czemże tak cię to morze ęci tajemnicze?

Dzięki! Zwraca oblicze—ku mnie czoło skłania.

Ten wzrok! Spokojny jak gwiazda przyjaźni,
 Ogarniający jak pożar kochania!...
 Jakaś ty cicha, a jaka wspaniała,

Ruin królowo!

Ach, gdyby jeszcze przemówić zechciała....

Słowo!

Muza.

Wywołana, zstąpiłam.

Podróżny.

Przeze mnie wołana

Raczyłaś zstąpić? Dla mnie? O patrz, na kolana

Padam z modlitwą dziękczynną.

Żadna już mię od stóp twych nie oderwie siła,

Po widzeniu już tylko umrzeć się powinno.

.

Ktoś ty jest, tajemnico z oczy bezdennemi?

Jam wywoływał muzę; tyżbyś muzą była?

Muza.

Taką nazwę śmiertelni dali mi na ziemi,—

Na innych światach noszę nazwę inną.

Podróżny.

Ale w jakimże ciebie wzywać mam zakłęciu?

Talja, Polimnja czy Klio;

Którą-że jesteś z dziewięciu,

Co wawrzyny na szczycie Helikonu wija?

Muza.

Więc i ty uwierzyłeś w podania zwodnicze,

Jakie gmin nagromadził przy stopniach méj wiary?

Ja, przez nieznane wam czary,

Tak umiem zmieniać postać i oblicze,

Od gwiazd do kropli rosy spadam w jednej chwili,

Od tańca wodzonego przy fletni prostaczej,

Do łamania rąk w rozpacz;
 Od śmiechu, w którym dusza bierze rzut motyli,
 Do lwiej zadumy;
 Wszędzie tak się przerzucam, że zdumiałe tłumy,
 Widząc mię tylekrotną, wszechobecną w świecie,
 Rozłamały me imię zawiłkie.—A przecie
 Ja jedna jestem, zawsze byłem jedna,
 Jam jest poezja.

Podróżny.

Pozwól, niech w pokorze,
 Usta na kraju twojej szaty złożę,
 Usta te odtąd, w twój obronie śmiałe,
 Będą fałsz gromić.—
 Jeżeli głos mój zjedna
 Twym prawdom jedno serce, dość na moje chwałę.
 Mów, jak mam odpowiadać, gdy mię pytać będą,
 Zkąd twój ród, gdzie kolébka, jakie twoje dzieje?
 Wśród retorów się z dziwną spotkałem legendą,
 Jakby odwieczny mocarz Tracji tajemniczej
 Był ci ojcem....

Ten uśmiech!... gdy muza się śmieje,
 Ach to jest uśmiech słodyczny,
 Co tak dumna, że nawet gniewać się nie raczy.
 Inni od bóstw Olimpu twój ród wywodzili....

Muza.

Dosyć. Uśmiechu tylko godzien, kto mi znaczy
Kolębkę wśród śmiertelnych. Lecz i ten się myli,

Kto mię z Olimpu wywodzi.

Czyliż Olimp mógł istnieć, póki mnie nie było?

Wszyscy jego mieszkańcy, to bogowie młodzi,

Przybysze, miałką obdarzeni siłą,

Na których my, pierwotne stworzenia, olbrzymy,

Jak na pacholę patrzymy.

Rody bogów się piętrzą nie na dniach ni latach,

Lecz na milionach wieków. Ich przestraszne dzieje,

Na których przypomnienie duch we mnie truchleje,

Rozgrywały się dawno, na dalekich światach.

Do was ledwo wieść o nich przywionęła chmurna.

Znacie wiek złoty Saturna?

Saturn młodszy od muzy. — Wiész jak gasł tajemnie,

Uranus, gorącemi słońcami skrzydlaty?

I ten młodszy. — Słyszałeś, jak niegdyś szalenie

Kronos i Okeanos rozrywali światy?

I oni młodszy ode mnie.

Starszych od mego rodu jest bóstw tylko troje:

Noc, Chaos i Przeznaczenie.

Wnet ponich się w wieczności ważąc nieskończenie,

Idą bieguny ducha, — to rodzice moje:

Matką mi była Miłość, a ojcem Cierpienie.

Podróżny.

Matką ci była Miłość... a ojcem Cierpienie...
 Pozwól—niech myśli zbiorę—ja sam się rumienię,
 Ale pojąć nie mogę... przebac, wszak ja człowiek!
 Cierpienie! Czyż być może?... Ty, której oczyma
 Patrzy wieczna pogoda; ty, u której powiek
 Nigdy łza nie zawisła, znałażbyś cierpienie?

Muza.

Czyż może być poezja, gdzie cierpienia niema?

Podróżny.

A miłość? Jeszcze przebac... pył mówi tak śmiało!
 Ty umiesz śpiewać miłość, z czarem, z niepokojem,
 Z siłą, w kastalskiem źródle sztuki wyczerpaną,
 Lecz nigdy w dziejach bogów, nigdy nie słyszano,
 Aby się objawiła żywa w sercu twojem?

Muza.

Ach, czyliż można śpiewać, czego się nie znało?

Podróżny.

Więc tybyś mogła kochać?...

(*Chwila milczenia*).

Już kochałaś może?

Muza.

Już i jeszcze.—

Odwieczna, tragiczna to powieść.
 Na jej odgłos umarli wzdrygają się w grobie,

W niej spoczęły najgłębsze tajemnice boże;
Tylko moim wybrancom, kiedy chcę im dowieść,
Że są wybrani, moje opowiadam dzieje.

Opowiem, tobie.

Podróżny.

Chwilkę jeszcze... przed takim niebem zachwycenia
Moc śmiertelnika się chwieje...

Ja wybrany? To słowo świat dla mnie przemienia!

Sama mi opowie?

Mów! Słucham... Duch mój, los mój, zawisł na
(twem słowie!

Muza.

Gdy młodzieńczy, hardy, śmiały,

Saturnową mocny klęską,

Zeus na tronie siadł zwycięzko,

I wychylił czarę chwały,

Spojrzał, nie na bohater,;

Nie na bogi, lecz boginie.

Brwi naciągnie, ręką skinie,

I wnet przybiegł syn Wenery.

Przybiegł, dał mu łuk i strzały;

Wstał król bogów z majestatu,

I w świat poszedł, hardy, śmiały,

Już nie gromem grozić światu,

Sercom tylko grozić klęską.

Z czary niepokonanemi,
 Wśród cór nieba, wśród cór ziemi,
 Pan Olimpu szedł zwycięzko.

Aż przybył do krainy mojej, zaświatowej,
 Gdzie milcząca, topiłam oczy nieskończenie
 W księdze, którą mi czytać dało Przeznaczenie,
 Pisaną na tle czarnem tęczowemi słowy.

Czujna byłam, jak wszyscy którzy skarbu strzegą,
 Ja, muza, w sercu strzegłam ognia niebieskiego.

Zdumiony, że tam jasno bez gwiazd ani słońca,
 Zeus nie śmiał wtargnąć pierwszy, na zwiady słał
 (gońca.

Wleciał orzeł, mirt świeży przynosząc mi w dziobie.
 Ja, nie znająca jeszcze waszych godeł z ziemi,
 Wzięłam drobną gałązkę i roztargnionemi
 Rękoma między włosy zaplotłam ją sobie.

Wtedy, hardy i wspaniały,
 Stał przy mnie wódz niebianów,
 Stał w huku huraganów,
 Chciał mię olśnić słońcem chwały,
 Chciał piorunem zmódcz.

Podrózny.

Zuchwały!...

Muza.

On w źrenicach nosił strzały,
Czego inni nie dostrzegą,
Skarb, dla niego był widomy;
On miał tylko niebios gromy,
A chciał ognia niebieskiego.

Ja ciekawie patrzyłam w nowe dla mnie dziwy;
Jego obraz nasuwał złotych myśli nawał,
Ale serce milczało. Zeus mi się wydawał,
Nadto tryumfujący i nadto szczęśliwy.

Spojrzę w księgę, gdzie przyszłość jasną stoi wieścią,
I w księdze czytam: „Grzmiące Zeusa panowanie,
Krótkie będzie, jak burza;—nic się nie ostanie,
Jeżeli nie zdobyło zasługi, boleścią”.

Chciałam go wypróbować—spojrzałam mu w lica:
„Jeżeli, rzekłam, tak silnie serce cię nakłania,
Kładę warunek jeden, lecz bez odwołania:
Pójdź Zeusie i proś o mnie mojego rodzica”.

Ha! uląkł się spotkania z cierpieniem!—Pan bogów,
Zbladł. — On łez nie chciał wpuścić w rozkoszne
(podwoje,
Swego Olimpu!—Zadrzał o pioruny swoje!

Skinął na orła—odszedł—i wrócił się z progów.

Żądłem oczu mię przesywszy,
 Z drzeniem w głosie, rzekł ponury:
 „Pomnij, jeżeli z bogów który
 Będzie ode mnie szczęśliwszy,
 (I ja wieszczę — zemstę ci wieszczę!)
 Poślę mu innego ptaka —
 Zemsta nad nim będzie taka,
 Jakiej świat nie widział jeszcze!”

.

Podróżny.

Ukój się muzo... czemuż drogie słowa,
 Jakby rosa na róży, na twych ustach wiszą,
 A ja czekam jak żeglarz, przerażony ciszą?...

Muza.

Tak — tu na ustach zamięra mi mowa...
 Przychodzę do największej życia mego chwili,
 Muszę dotknąć najkrwawszej serca mego rany...

.

Był ród bogów najmłodszych — ci na ziemi żyli:

Tytany.

Ród lepszy od Olimpu, lecz nie znał sam siebie.
 Pod gromami pokorny i zapracowany,
 Nie czuł, że to on godzien zapanować w niebie.

Ale był wśród nich jeden... najmilszy z postaci,
 Najwaleczniejszy sercem. On kochał tak braci,

Że pojął ponizienie ich martwego życia,
I przysiągł że wszystko straci,
Lub wróci im godność bogów.

Grom nieba już był w ręku Zeusa, w ręku wrogów.
Jeszcze niebieski ogień został do zdobycia.

Podróżny.

Prometeusz!

Muza.

On!—W wieczność poszedł niestrudzenie,
Poszedł szukać mię:—stanął w mem zaklętem kole,
Nie jak ów Olimpijczyk z pychą i wszechmocą,
Lecz cichy i łagodny;—a nosił na czole;
Znak mi dotąd nieznanym, znak smutku... zaćmienie...
Na jego widok oczy podniosłam od księgi,
I oczy mi raz pierwszy zasły ową nocą,
Co jaśniej od dnia gore. Zaznałam dreszcz trwogi...

Gdy mówił o braci losie,

Łzy miał w oczach, łzy miał w głosie....

Słyszysz, łzy? Większej potęgi

Nie posiadły żadne bogi!..

Jam sercu panowała lat i wieków tyle—
Lecz jakież siły serca przed łzą się ustrzeżę?

.

Z ust mych uniósł w jedną chwilę

Iskrę ognia niebieskiego.

Podróżny.

Szczęśny — ha! nazbyt szczęśliwy...

Muza.

Kiedy z tą jedną iskrą powrócił do ziemi,
Ziemia się przemieniła.

Jak lew złotogrzywy
Ród Tytanów, zbudzony, strząsnął pył ze skroni,
Zrozumieli, że i oni
Są nieśmiertelnymi.

.....
Lecz on... Znasz jego losy — zna je ziemia cała,
Kiedy zatrzęsa się skała,

Kiedy zemsta w prawicy Zeusowej zagrzmiała,
Ja zbiegłam między Tytanidów plemię.
Poezja przyszła z nieszczęściem na ziemię.

Tys mówił żem spokojna, żem łez nie zaznała?
Od widoku boleści jam jest skamieniała —
Ja wyplakałam już wszystkie łzy moje.

U skały poświęcenia, i w nocy i we dnie,
Pieśniami płaczę, pieśnią ból mu koję.

Czasem pieśń uśpi ptaka co mu targa łono.
O! w takiej chwili, śpiewam przepowiednię
W księdze przeznaczeń skreśloną,
Piórem wyrwanem ze skrzydeł nadziei.

— „Każdy ród bogów ma swój wiek z kolei.

Przyjdzie czas, kiedy ślepe olimpijskie siły,

Co tylko gromem rządziły,

Przejdą jak burza,—a Tytany ducha

Niebo zdobędą w powtórny rozpędzie”.

On, wieszcz, słucha z uśmiechem—i Zeus nawet

(słucha,

I nie może zaprzeczyć, bo wie że tak będzie.

.

Oto są serca Muzy dzieje tajemnicze,

Młodzianie czemu wzrok twój chmurzysię i mroczy?

Podróżny.

Jeśli trzeba iść z bogów, by zwrócić twe oczy,

Pocóżem twoje oglądał oblicze?

Muza.

Jeszcze mię nie zrozumiał?... Każda ludzka dusza,

Co bohaterko idzie przez boleść i trud,

Jest jedną chwilą w dniach Prometeusza,

Bo Prometeusz, to człowieczy ród.

Podróżny.

O, jeśli tak, ja szturmem chcę zdobyć niebiosy!

Wziąć przyszłość w proroczem słowie!

Śpiewać boleść na wszystkie ducha mego głosy!

.

Lecz wiem-że czy dar pieśni dali mi bogowie?

Muza.

Ach, czyż tylko do pieśni natchnienia potrzeba?
 Czy to sztuka, czy to wiara,
 Czyn, czy mądrość, czy ofiara,
 Wszystko woła ognia z nieba.

Idź, niech tylko twe życie będzie poematem,
 A muza pójdzie z tobą przez świat i za światem.

Podróżny.

Idę wyzwać wszystkie męki.
 Albo na tarczy zostanę,
 Albo wrócę, zwycięzcą, po wieniec z twój ręki.

Muza.

Ach! nie wyzywaj cierpień! Przyjdą niewołane,
 Przyjdą w liczbie co ciebie samego zadziwi.
 Im czuć będziesz szlachetniej, żyć będziesz cnotliwiej.
 Tem więcej gromów twe czoło ogarnie.
 O to chodzi jak cierpieć, mężnie czy nikczemnie.

Podróżny.

A przeszłość moja? Przeszłość? Minęłaż tak marnie?
 Wierz mi, znam się z nieszczęściem. W niejednej
 Jam już wieki przecierpiał. (godzinie,

Muza.

Któż lepiej ode mnie
 Zna tajnie twój przeszłości? Dla tego jedynie,
 Żeś i ty już miał swoją prometejską skałę,
 Muza ci się objawia. Taką wielką chwałę,
 Może tylko dać wielka....





S e n .

Podróżny.

Miłość! O natchniona,

Tu na sercu rozkochanem
Spocznij—pójdź w moje ramiona!
I jam uczuł się Tytanem!

(Muza odrywa się od ziemi i zwolna pierzcha w powietrzu).

Muza.

Wstrzymaj się! Miłość muzy groźna, bo skrzy dłata
Im duch namiętniej ku niej się przybliży,
Tem ona dalej odlata,
Ale na to odlata, by pociągnąć wyżej.

Po spiętrzonych stopniach świata,
Musisz łamać wszystkie bramy,
Musisz zrywać wszystkie tamy,
Z próby w próbę, z życia w życie!
Gdzieś i kiedyś się spotkamy,
Lecz to aż na niebios szczycie.

(Muza rozwięwa się w powietrzu. Podróżny, goniąc za jej lotem, staje między zwaliskami świątyni).

Podróżny.

Więc iść mi za nią! Między czarne losy,
Nad gruzy świata, i nad szczęścia gruzy,
Z ziemi do nieba, z niebiosów w niebiosy,
Cierpieć i kochać, przez muzę, dla muzy.

(Chwilę patrzy w niebo—zstępuje z gór, wsiada w łódź i odpływa).

POŻEGNANIE.

Chcesz mię żegnać? Jeszcze chwilę...
W przeznaczeniu zwrotów tyle!
W ludzkiej mowie tyle słów!
Powiedz wszystko co masz w duszy,
Co rozrani i co wzruszy,
Co wiem i co nie wiem, mów!

[Lecz niech słowo: Pożegnanie,
Wymówionem nie zostanie,
Bo gdzieś przy nas, tu czy tam,
Stoi zawsze moc ukryta,
Która nas za słowo chwyta,
I zwraca je przeciw nam.

Czy rozejdziem się na lata,
Czy pojedziem na kraj świata,
Po za przestrzeń, po za czas,
Rzućmy sobie: Do widzenia!
Słowo ludzkie wiele zmienia,
Może wcześniej zbliży nas?]

Jeżeli nawet czasem burza
 Niebo zgody pozachmurza,
 Serce zajdzie łzami z krwi,
 Niech głos nigdy nie dopowie
 Słowa: Żegnaj! bo w tem słowie
 Urok, i zły urok tkwi.]

Chmury serca są najłzawsze.
 Lecz i wtedy zawsze, zawsze:
 Do widzenia! powiem ci.
 Niech znów tylko ujrzym siebie,
 Chmury pierzchną w naszym niebie,
 Miłość się miłością mści.

BARWA RÓŻOWA.

IMPROWIZACJA.

dnia 6 Października 1870 r.

Gdy odrzuciwszy nocny płaszcz żałoby,
Dzień chce zmartwychwstać na nowo,
Jutrzienka, ta młodość doby,
Wychodzi z szatą różową.

Tak młodość, jutrzienka życia,
Śląc w przyszłość skrzydlate gońce,
Różowe zrywa spowicia.
— Z niej Prawda wzejdzie jak słońce.

Śpiewał słowik na drzewie, w trawach kwitła róża.

I pytał słowik róży: „Czemu jest różową?”

A róża rzekła to słowo:

„Bo gołąb' mi jest ojcem, a matką mi burza”.

Wiek dziecinny, wiek niewinny,

Nosi rąbek biały.

Wiek dojrzały, wiek wspaniały,
Wiek orkanów, w którym płoną,
Szały, gromy i zapały,
 Lśni suknią czerwoną.

Aż te dwie barwy, stopione,
Stworzą różową, wszystkich barw koronę.

Kto zdoła w jedno stopić ich zawilość,
Ten tajemnice zgadnie najzawilsze.
Weź to co najstraszniejsze, i to co najmiłsze,
 Z nich błysnie różowa Miłość.

A chociaż kwiaty zwiędną z wichrami w rozterce,
I dusza już po szczęściu pozostanie wdową,
Jeżliś zachował nieskalane serce,
Ach! jeszcze w życiu będzie ci różowo.

SEN.

IMPROWIZACJA.

dnia 15 Października 1870 r.

Trzy siostry Parki, władczynie ziemi,
W trzy nitki wiążą dni naszych len:
Tam śmierć,—tu życie; a między niemi,
Pół życia, pół śmierci: sen.

Świat to osobny, iskrzących ciemnic—
Własnych praw—dziwnych uciech i prób.—
Może pełniejszy jeszcze tajemnic,
Niżli kolebka i grób.

A przecież dusza, branka zwyczaju,
Tak do tajemnych przywyka trwóg,
Że codzien, (codzień!) bywa w tym kraju,
I nawet nie pomni dróg!

Ach! bo pomiędzy dzienną pogodą,
A senną chmurą, jezioro jest.
Przeszłość je zwała Letejską wodą.
Śmierć daje w niem pierwszy chrzest.

Gdy dusza, ciasnem zmysłów okienkiem,
Tak rwie się tęsknie w błękitną dal,
Czemużby pieśnią, niby czółenkiem,
Nie puścić się z wolą fal?

Ukołysana ruchem otchłani,
Płyn duszo! W kraju złudzeń się budź!
Pójdźcie wy wszyscy coście stroskani,
Wsiadajmy w cudowną łódź.

Jeszcze nie Charon steruje w łodzi,
Lecz jakiś geńjusz nieznany. — Ach,
Patrzcie: on z kształtu w kształty przechodzi...
Patrzcie: pół-aniół, pół-strach!...

U brzegów ciche wiszą opoki,
Słychać pacierze, jak szelest drzew...
Przed nami płynie łabędź wysoki,
Zawodząc przedśmiertny śpiew.

Modremi mgłami mrzy okolica...
I niby słońce wyjrzało znów,
Lecz słońce inne... ma łzy księżycy.
Wpływamy w dolinę snów.

Po jednej stronie, jak raj wesola,
Po drugiej, straszna, jak piekiel dno.
Na brzegach gęsto kielkują zioła,
I trzciny się z falą gną.

Sitowie życia, jeszcze tak nisko
 Wrosnięte w Letejską toń,
Związując prątki, niby kołyską
 Ocienia dziecięcą skroń.

I tych dzieciątek cała drużyna,
 Jak Mojżesz wypływa z wód.
To cała ludzkość, snem rozpoczyna
 Życie, skazane na trud.

Nad kołyskami schylając głowę,
Matki śpiewają, co serce śni.
A sny latają, bezkolorowe,
 Sny białe dziecięcych dni.

Ach! śpijcie błogo, bo niedaleko,
Na drugim brzegu, na złomach skał,
Z grubo zasutą trudem powieką,
 Tłumy już legły jak wał.

Wszystko ubóstwo, krzepcy wieśniacy,
 Trzy czwarte ludzkości w śnie.
Choć śpią na skale, na twardej pracy,
 Swoboda z ich lica technie.

Lecz ich sny chodzą z zakrytą twarzą,
 Bez kształtów, światel, ni skaz.
Ci spracowani, choć śpią nie marzą;
 Odpoczywają jak gład.

Widok jałowy dla oczów ducha.

— Spójrzyjmy na pierwszy brzeg:
Co na nim świta? Co na nim grucha?

Ach łódko, powstrzymaj bieg!

Przy stopach góry, stoją zwaliska

Świątyni szczęścia. Zwaliska już!

A przecie szczyt ich, jeszcze połyska,

Jako drogowskaz wśród burz.

Tam przed ołtarzem, na którym świeci

Ideał boski, król snów i pan,

Wszystkie marzenia wszystkich stuleci

Zawodzą wiosenny tan.

Kibić wykwita z różanych rąbków;

Wawrzyn się wplata w promienny włos;

Z ramion tryskają skrzydła gołąbków;

Wzrok orli, słowiczy głos.

Rafaeliczny wdzięk w ich postawie,

Uścisk ich dłoni wiernością cny.

Sny takie nie raz chodzą na jawie;

Młodości! to twoje sny!

Ach, czemuż czólno tak prędko płynie?

Marzenia pierzchły... jak sen!

Mrok zewsząd pada... słyhać w dolinie

Zgrzyt zębów i wycia hjen.

Na drugim brzegu żuzłowe wzgórze,
Jak obszarpany wulkanu zrab.
W szczelinach kipi i świszczce burza...
Szalony, kto spojrzy w głąb'!

Tam sny gorączki, tam sny choroby.
Dziwadła ciągną ognisty wóz.
Mary się wleką w kirach żałoby...
Strach leci, siejący mróz.

Lunatyk płąsa nie ludzkim skokiem.
Zmora, u czarnych milczenia drzwi,
Jak lew przysiadłszy, śmiechem i wzrokiem,
Ze swojej ofiary drwi.

Dalej jaskinia otwiera ku mnie
Paszczę, ziejącą krwi świeżej woń..
Tam sny zbrodniarzy biją się tłumnie.
Ostatnia sumienia broń!

Uciekaj prędzój, łódeczko trwożna!..
Ta baśń, straszniejsza jak życia treść.
Nie raz na jawie przetrzymać można,
Co we śnie się nie da znieść.

Wulkan mijamy.—Nad pierwszym brzegiem
Ciagną się pustki smętarnych pól;
Wśród mogił, żywi legli szeregiem,
Na twarzy ich zastygł ból.

Ach, to rodzice! ach, to sieroty!
 To dusze wdowie pomne na ślub!
 Każde z nich wzywa lubej istoty,
 Każde z nich w sercu ma grób.

Sen choć na chwilę ich uszczęśliwi.
 Wracają drodzy! To ona! On!
 Pełni uśmiechu, i tacy żywi,
 Że sam nie wierzysz w ich zgon!

Lecz ranek przyjdzie zwiać te uśmiechy,
 I powie: „Znowu to wszystko trać!”
 Ach, lepiej nie znać sennej pociechy,
 Jak chwilę zbudzenia znać!

A jednak, nie raz duch dla nas drogi,
 Z nieba nam we śnie przyniesie znak,
 Symbol nadziei, słowo przestrogi.
 Są sny od Boga; o, tak!

Jak nad Jakóblem, sen się rozpina
 W stopnie objawień.—Więc płynąmy znów!
 Stopniami w niebo rośnie dolina,
 Tam stoją tłumacze snów.

Hierofant krąży słońcem powagi,
 Józef od sfinksów zdobywa klucz,
 Laseczkę cudów piastują Magi,
 Grom bije z Daniela ócz.

Kalchas przemówił, i w Grecji trwoga...
Bo on zna swiaty, tamten i ten!
Pytja, spojona czarem trójnoga,
Rządzi ludami, przez sen.

Wyżej, Sybille przed tron Wszechmocy
Rzucają wróżebny liść.
Ścieżką męczeństwa pną się prorocy,
Płacząc, że Duch każe iść!

Astrolog pisze w senniku dziwy,
Alfabet życiowych słów.
Cyganka, córka Indji, sędziwej
Zgaduje serce... ze snów.

Wyżej, jak lilje ścięte na łące,
Jak białe ptaszę wyrwane z gniazd,
Rwą się nad ziemię jasnowidzące,
I chodzą od gwiazd do gwiazd.

A jeszcze wyżej, Święte i Święci,
Koronne głowy w królestwie cnót,
Krzyżem zachwyty w niebie rozpięci,
Wzdychają do rajskich wrót.

Na senne wizje rozwarli oko,
Anioł im biały podaje chleb.
Ach, tam już góra tak jest wysoka,
Że zdaje się tykać nieb!

Lecz co w koło nas?... Niknie dolina —
 Ustaje żywiołów zbrat —
 Tu góra nagle w bezdeń się ścina —
 Czyżby tu kończył się świat?

Woda Letejska w otchłanie spada...
 Stańmy... o nieba! tu śmierci próg!
 Gdzieś w wieczność leci straszna kaskada—
 A nad nią tęcza — i Bóg.

* * *

Łabędz poezji zaśpiewał tkliwiej,
 I rzucił się w zamęt wód.
 Zawróćmy łódkę, pókiśmy żywi!
 Z łabędziem zniknął i cud!...

Pierzchły obrazy... nikt już nie powie,
 Że tędy duchów przeciągnął chór.
 Tylko u brzegu szumi sitowie,
 I zioła wonieją z gór.

Wszystko to zioła usypiające;
 Magiczna w nich kipi ciecz.
 Makówki trzęsą główek tysiące,
 Konopie grożą jak miecz.

Lecz między temi sennemi kwiaty,
 Co widzę? Jak biała kiść,
 Rośnie zwój kartek! To poematy
 Puszczają zbyt długi liść.

Nic nie usypia, nic tak nie nurzy,
Jak równych rymów przedwieczny tren.
Więc i ja nie chcę śpiewać wam dłużej,
By wszystkich nie zmorzył—sen.

BIAŁA RÓŻA

MAZUREK.

Śnieżnolica pół dziewica,
Mistycznym szelestem,
Róża biała mnie pytała:
„Powiedz czem ja jestem?
„Czy miłością? czy przyjaźnią?
„Gdy motyle, ku mnie
„Garnąc się, z wietrzykiem drażnią,
„Drzę—i milczę dumnie.
„Gdy się bluszcz do nóg mych ściele,
„Jestem posmutniała....
„Dla mnie miłość, to za wiele:
„A przyjaźń, za mało.”

* * *

Różo? ja ci powiem wszystko,
By cię pojąć, trzeba
Być kobietą i lutnistką.
Chcesz na ziemi, nieba!

Przyjaźń twoja, różą pała,
 Jak przyjaźń kobiety,
 Miłość twoja, wiecznie biała,
 Jak miłość poety.
 Czy ze sprzecznych tych żywiołów,
 Szczęście ci się zbudzi?
 Chcesz miłości u aniołów,
 Przyjaźni u ludzi.
 Tym czasem się ludzie boją
 Twój surowej bieli.
 A przed różanością twoją,
 Pierzchają anieli.

* * *

„Cóż chcesz? może wiara ludzi?”

Róża mi odpowie,

„Lecz ja wierzyć chcę, że z ludzi

„Będą aniołowie.”

INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN
 Biblioteka
 ul. Nowy Świat Nr 72
 00-000 Warszawa
 Tel. 26-68 63, 26-62-31 w. 42





Долово. Цена. Варшава 27 Августа 1871 г.—W Druk. J. Jaworskiego Krak.-Przed. Nr. 415.

ŚWIAT MUZYKALNY,

(Le Monde Musical).

Wychodzić będzie jako wydawnictwo periodyczne co 10 dni zeszyt, objętości arkusza, czyli 8-miu stronnic. Przez ciąg więc jednego roku wyjdzie 36 zeszytów, zawierających około 288 stronnic, to jest do 80-ciu kompozycji muzycznych.

„Świat Muzyczny” pomieszczać będzie utwory tak klasycznych jak nowszych autorów.

Na sam fortepian: wyjątki z oper, fantazje, salonowe kompozycje, tańce, marsze i t. p.

Do śpiewu: pieśni, romanse, śpiewy z towarzyszeniem fortepianu i t. p.

Przedpłata w Warszawie rocznie wynosi rs. 4, półrocznie rs. 2; osoby zaś nadsyłające z prowincji lub Cesarstwa, do niżej pomienionego wydawcy przedpłatę w ilości rs. 5, otrzymywać będą każdy zeszyt po wyjściu pod opaską franco.

MUCHA,

TYGODNIK HUMORYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

POMIESZCZA:

Powiatki, nowelle, opowiadania, ramoty, humoreski, szkice, obrazki, wiersze, fraszki, rozmaitości i t. p.

Od dnia 1-go Grudnia r. b. dodaje się powieść humorystyczna, w osobnych odblaskach, formatu zwykłej książki, Pawła de Kocka, p. t.: „Papa teść”.

„Mucha“ wychodzi regularnie co piątek. Cena pomimo dołączenia dodatku pozostaje ta sama.

Przedpłata w Warszawie kwartalnie kop. 90, miesięcznie kop. 30; w guberniach i Cesarstwie rocznie rs. 4 kop. 80, kwartalnie rs. 1 kop. 20.

Ekspedycya główna w Składzie Nut Józefa Kaufmana, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 443 (71).

Redaktor i Wydawca, Józef Kaufman.

BIBLIOTEKA ROMANSÓW I POWIEŚCI.

Warunki prenumeraty:

Wychodzi z dniem 1-m Stycznia 1872 roku, w tomikach in 8-o, z których każdy obejmie od 4-ch do 6-ciu arkuszy druku;—wychodzić będzie co tydzień.

W kwartale I-szym rozpoczęły się jednocześnie dwie powieści:

- 1) **Złota Szajka**, przez Gaboriau.
- 2) **Dama w perłach**, przez Dumasa (syna).

Przedpłata wynosi:

w *Warszawie* miesięcznie kop. 45, kwartalnie rs. 1 k. 35; z przesyłką pocztą kwartalnie rs. 1 kop. 80, rocznie rs. 7 k. 20.

we *Lwowie* u F. H. Richtera kwartalnie zhr. 3, na prowincji z przesyłką pocztową zhr. 3 krz. 50.

w *Poznaniu* u M. Leitgebera kwartalnie 1 tal. 15 sgr., z przesyłką pocztową tal. 2.

Ekspedycja Główna i Redakcja w Warszawie, w Księgar-
ni i Składzie Nut Józefa Kaufmana, Krakowskie-Przedmieście,
Nr. 443 (71).

REDAKTOR I WYDAWCA,

Józef Kaufman.

F
569